



ZYGMUNT KWIATKOWSKI SJ

**Z KRZYŻEM
W KRAJU
PÓŁKSIĘŻYCA
NYSZKUR ALLAH
– DZIĘKI BOGU**

W Y D A W N I C T W O W A M

© Wydawnictwo WAM, 2010

Redakcja
Joanna Skóra

Projekt okładki i stron tytułowych
Jadwiga Mączka

ISBN 978-83-7505-404-0

NIHIL OBSTAT. Przełożony Prowincji Polski Południowej Towarzystwa Jezusowego
ks. Wojciech Ziółek SJ, prowincjał, Kraków, 6 października 2009 r., l.dz. 407/09.

WYDAWNICTWO WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków
tel. 12 62 93 200 • faks 12 42 95 003
e-mail: wam@wydawnictwowam.pl

DZIAŁ HANDLOWY
tel. 12 62 93 254-256 • faks 12 43 03 210
e-mail: handel@wydawnictwowam.pl

Zapraszamy do naszej
KSIĘGARNI INTERNETOWEJ
<http://WydawnictwoWAM.pl>
tel. 12 62 93 260, 12 62 93 446-447
faks 12 62 93 261

Drukarnia Wydawnictwa WAM
ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

wydawnictwowam.pl

WSTĘP

Nyszkur Allah (czyli po polsku „dzięki Bogu”) mogę oddać do Waszych rąk książkę, która zanim nią została, była zbiorem artykułów, komentarzy i zwykłych migawek sytuacyjnych z Bliskiego Wschodu. Dzięki pomocy redakcyjnej moich przyjaciół mieszkających w Polsce, udało mi się ją ostatecznie opracować i wydać, za co jestem im bardzo wdzięczny. Jeszcze tylko dodam, zanim się przedstawię Czytelnikowi, że „nyszkur Allah” jest bardzo popularnym powiedzeniem, które stosuje się tu na co dzień, najczęściej wraz z pozdrowieniem, dodając do niego niemal sakramentalne: „jak się masz?” (czyli „dziękujmy Bogu”) wyrażające wiarę w Jego miłosierną opiekę we wszystkich okolicznościach życia, nawet tych bardzo trudnych. Zanim umieszczę kilka uwag o samej książce, chciałbym powiedzieć Czytelnikowi coś o sobie. Otóż jestem zakonnikiem i duszpasterzem w jednej osobie. Przed trzydziestu prawie laty, wprost z jezuickiej placówki duszpasterstwa akademickiego w Lublinie, w barwnym i dramatycznym czasie rodzenia się w naszym kraju Solidarności, zostałem wysłany na bezludne

i monotonne piaski „pustyni damasceńskiej”, ucząc się – zupełnie jak małe dzieci – pisemnych znaków i ich dźwiękowych odpowiedników w języku arabskim, z tą jednak różnicą, że dzieci arabskie doskonale sobie radziły z tym językiem w mowie potocznej, ja zaś z powodu braku tej umiejętności przez długi okres musiałem pozostać „niemy”. Dlatego pierwsze lata spędzone przeze mnie w Syrii mogę określić mianem PUSTYNI, która pogłębiła we mnie te duchowe intuicje i przekonania, które uformowały się we mnie jeszcze w czasach pracy duszpasterskiej w Polsce. Duszpasterstwo akademickie było dla mnie szkołą spotkań z ludźmi i czasem odkrywania fascynującej prawdy o tym, że chociaż człowieczeństwo wszystkich ludzi jest jedno, to jednak każdy człowiek posiada inne, niepowtarzalnie jego oblicze. Jednocześnie stawało się dla mnie wówczas coraz bardziej ewidentne, że nie ma człowieka, obojętnie jak bardzo bogatą miałby osobowość, który nie potrzebował kontaktu z drugim człowiekiem, bowiem bez tego kontaktu zagrożona jest sama esencja jego człowieczeństwa, czyli osobowość. „Pustynia syryjska” utrwaliła we mnie te wszystkie odkrycia, ale nie mając możliwości bezpośredniego dzielenia się nimi z innymi osobami (bo istotą pustyni jest przecież SAMOTNOŚĆ), musiałem szukać jakiejś innej płaszczyzny kontaktu i dialogu. Bardziej intensywna stała się wówczas oś rozmów z Bogiem, czyli modlitwa, poza tym szczególnego znaczenia nabrała korespondencja. Owszem, tu i ówdzie zamieszczane były artykuły, pisane jednak nie na zamówienie, ale

z potrzeby duszy, dlatego wszystkie one były bliskie formule epistolarnej i... tak już zostało.

Listy i artykuły, jak już powiedziałem o tym na samym wstępie, stały się dla mnie inspiracją do opracowania ich w formie książkowej i wydania najpierw jako *Kartek z Bliskiego Wschodu*, a potem jako *Pustelnika z Mar Musa*. Teraz do Waszych rąk trafia *Z Krzyżem w Kraju Półksiężycy. Nyszkur Allah – dzięki Bogu*, czyli ikona duszpasterskiej codzienności na Bliskim Wschodzie. Chodzi o region, gdzie wiekowe zacofanie nieustannie stara się o to, aby ułożyć sobie jakoś życie z nowoczesnością, gdzie bardzo intensywnie, co czasem oznacza niestety bardzo boleśnie, przeżywane jest spotkanie Wschodu z Zachodem i gdzie religia chrześcijańska współżyje z islamem od pierwszego momentu pojawienia się go w historii, nieprzerwanie, aż do dziś. Natomiast Kościół w tym regionie – należy to mieć stale na uwadze – jest nosicielem najstarszej tradycji, tej sięgającej czasów Jezusa Chrystusa i Apostołów. Nigdy nie została ona tu przzerwana, mimo trudnych warunków politycznych, wojen, prześladowań i wiekowej presji zwycięskiej muzułmańskiej kultury i religii. Bliski Wschód to region, gdzie nie ma skrawka terenu, na którym nie byłoby słycać pięć razy na dobę muzułmańskiego wyznania wiary, mówiącego o tym, że: „Bóg jest Największy i nie ma oprócz Niego żadnego innego, a Mahomet jest Jego prorokiem” i gdzie nieprzerwanie, od samego początku pojawienia się świątyń chrześcijańskich, słyszy się tu bicie dzwonów kościelnych i sprawuje się liturgię, stanowiącą widocz-

ną kontynuację tej pierwszej, tej najstarszej, sięgającej początków Kościoła i to również przez język aramejski, który się tu jeszcze zachował, będący językiem codzienności pierwszych chrześcijan, tak zresztą jak i samego Jezusa oraz Jego Apostołów.

Najchętniej napisałbym w podtytule niniejszej książki, że jest ona „ikoną duszpasterskiej codzienności na Bliskim Wschodzie”. Chciałbym przez to dać do zrozumienia, że nie jest ona pozycją mającą ambicje teoretycznego traktowania złożonych problemów tutejszego świata i teoretycznego szukania dla nich rozwiązań. Nie jest również moją intencją problematyzowanie doświadczeń trzydziestu lat spędzonych w tym regionie, organizując je w określone działy, aby móc następnie, przez dokonanie stosownej analizy, w rzeczowy sposób wyjaśnić je. Koncepcja tej książki jest zupełnie inna, właśnie – IKONICZNA. A ponieważ ikon się nie maluje, ale według oryginalnej tradycji ikonograficznej się pisze, ja też zachęcam Was, aby *Nyszkur Allah* nie tyle oglądać, co czytać i to w języku, w którym została ta książka napisana, czyli jak każda ikona, w języku WCIELENIA. Jak każda ikona – jest ona jednocześnie wyznaniem WIARY, malowanym z większym lub mniejszym kunsztem artystycznym... Ale to już jest inna sprawa, o której nie mnie się wypowiadać.

Sądzę, że ważne jest również to, iż mojemu pisaniu nie przyświecała żadna specyficzna idea poza tą jedną: żeby przedstawić życie, takie jakie ono jest na co dzień, bez żadnych retuszy i dramatyzacji. Chodziło

mi o to, aby po prostu dać świadectwo tej podstawowej prawdzie, że nie ma takiego życiowego banału, by się nie mogło okazać jednocześnie, że jest ono CUDEM ZBAWCZYM. Obojętnie gdzie ten banal by był ulokowany (nad Wisłą albo w kraju, którego stolicą jest Damaszek), jeżeli na pustyni dokonuje się prawdziwe SPOTKANIE, to wówczas zmienia się wszystko, cały krajobraz egzystencjalny człowieka, a zmęczony wędrówką pielgrzym w jednej chwili może się zamienić w odkrywcę nowych lądów i uwiedzionego ich pięknem eksploratora. Dla mnie od prawie trzydziestu lat taką przestrzenią Bożych objawień stała się głównie Syria. Nie uważam się jednak z tego powodu za mistyka – taka jest bowiem, moim zdaniem, wewnętrzna dynamika każdego chrześcijańskiego życia. Chciałem podzielić się z Wami tym, jak ja odkrywałem i odkrywam, abyście Wy również mogli doświadczyć radosnego zdziwienia, że monotony i trudny do pokonania banal codzienności, trudny jak pustynia, może się zamienić, jeżeli nie od razu w krainę mlekiem i miodem płynącą, to przynajmniej w dającą orzeźwienie oazę, regenerującą witalne siły człowieka. W każde bowiem życie ludzkie wpisana jest w swoisty sposób, właściwy dla danej osoby, TAJEMNICA ZBAWIENIA. Udane życie polega na tym, aby tę tajemnicę dostrzec, zrozumieć i przyjąć – stając się jej prawdziwym UCZESTNIKIEM, to znaczy całym sercem się w nią zaangażować. Wówczas, zupełnie bezwiednie, napisana zostanie przez Ciebie Twoja osobista ikona. „Nyszkur Allah” zatem! Dziękujemy Bogu za Jego OBECNOŚĆ na naszych życiowych drogach i za wszystkie SPOTKANIA

również na życiowych bezdrożach, bo dla Niego najważniejszy jest zawsze CZŁOWIEK, którego On w Jezusie Chrystusie powołał do tego, aby się stał ŻYWĄ IKONĄ NIESKOŃCZONEGO PIĘKNA MIŁOŚCI BOGA.

Zygmunt Kwiatkowski SJ



A JEDNAK MOŻNA

Właśnie wróciłem ze spotkania z grupą rodzin. Spotkanie to miało miejsce w jednej z uboższych dzielnic Damaszku o nazwie Duejla. Wracałem pieszo, śpiewałem i pogwizdywałem sobie jak nastolatek. „A jednak się udało, JEDNAK MOŻNA!” – powtarzałem sobie. Patrzyłem na górę Kasjun z jej tysięcznymi światełkami dziko budowanych domostw i wydawało mi się, że dziś świecą bardziej radośnie. Było to spotkanie, podczas którego tradycyjnie panuje pełne skupienia milczenie. Jak postąpić jednak w przypadku obecności małych dzieci?

Sytuacja jest taka, że albo zrezygnujemy ze spotkań na dobrych kilka lat, a więc zrezygnujemy całkowicie z istnienia grupy, która została założona przed dziesięcioma laty, albo znajdziemy jakąś formułę, która pozwoli nam odbywać spotkania w warunkach rodzinnych, żeby nie powiedzieć żłobkowych. Kiedyś była to grupa studentów, teraz stała się grupą młodych małżeństw. Parę razy nie udało się nam wyjść obronną ręką z tego *tahaddi*, tzn. wyzwania.

Dziś, przy żłobku (tu bardzo wczesnie buduje się bożonarodzeniowe żłóbki i wywiesza ozdoby) zapali-

liśmy świece, usiedliśmy tradycyjnym arabskim sposobem na matach rozścielonych przy ścianach z poduszkami jako oparcie i zaczęliśmy spotkanie modlitwą do Ducha Świętego. Czytaliśmy w milczeniu, a na głos wypowiadaliśmy tylko ten fragment modlitwy, który najbardziej do nas przemówił. Następnie przeczytaliśmy Ewangelię i mimo dziecięcego gworzenia od czasu do czasu udało nam się przez dziesięć minut modlić w milczeniu. Kiedy jakiś dzieciak robił się nieznośny, matka albo ojciec wstawali z nim i huścili na ramionach, czasem wychodzili na moment z pokoju. Wszystko czynione było w dużym skupieniu.

Najważniejsze, że udało się opanować Matiosa, bo ten trzylatek potrafi całą kompanię wojskową postawić na nogi. Malec ma niespożyte siły i niesamowitą fantazję do psocenia, a raczej do poznawania otoczenia w taki sposób, że powoduje albo spięcie elektryczne, albo stłuczenie jakiegoś wazonu, albo potłuczenie jakiegoś dzieciaka, który mu się czymś naraził. Dziś młodzi chłopcy w sąsiednim pokoju przygotowywali prezenty dla dzieci uczęszczające na katechizację i przyjęli Matiosa jako swojego pomocnika. Niesamowicie był zadowolony z tego wyróżnienia i tylko parę razy przyszedł, aby zaproponować nam szklankę herbaty.

Po medytacji, jak zwykle, nastąpił moment dzielenia się osobistymi przemyśleniami na temat czytanego Słowa Bożego i różnych sytuacji z życia codziennego. Nie mam pojęcia, jak to się stało, że choć dzieci czasem płakały, czasem defilowały przed nami niepewnym krokiem, udając się od mamy do taty i z powrotem,

mimo że czasem trzeba się było uśmiechnąć, patrząc na ich figle – udało się utrzymać nastrój pogodnego skupienia. Wyznania poszczególnych osób były przeplatane modlitewnymi wezwaniami, śpiewem i momentami ciszy. Mamy huśtały dzieci na rękach, dzieci łąziły po nogach i po głowach zgromadzonych, niektóre próbowały śpiewać razem z nami. Uczestnicy spotkania to przybliżali się, to oddalali od elektrycznego piecyka, zależnie od odczuwanej potrzeby i... cały czas trwała modlitwa, która była świadomym dziełem się doświadczeniem życiowym, a nie jakimś automatycznym powtarzaniem określonych formułek czy zwrotów. Byłem urzeczony klimatem wzajemnej życzliwości i szczerością ich wypowiedzi. Zakończyliśmy krótką modlitwą, stojąc w kręgu i trzymając się za ręce. Potem Ojciec nasz i tradycyjne picie herbaty wśród śmiechu, zabawy z dziećmi i planów na przyszłość. Po drodze do domów odwiedziliśmy jeszcze rodzinę, której dziś nie było na spotkaniu, trochę, dlatego, żeby wyrazić, iż zależy nam na ich obecności, trochę zaś dlatego, aby ich zawstydzić.

Musiałem szybko opuścić ich skromne mieszkanie i wrócić do siebie na Azbakije. Jak o tym już mówiłem, wracałem w doskonałym nastroju. JEDNAK MOŻNA medytować, modlić się, zwierzać ze swoich trosk, bólów i nadziei pomimo obecności małych dzieci. Dziś powiedziałbym nawet coś więcej, to wszystko odbywało się nie mimo ich obecności, ale po raz pierwszy dzięki niej. Dzięki tym maluchom panował nadzwyczajnie ciepły klimat życzliwości i pogody, i... był to chyba klimat bardzo bliski bożonarodzeniowej aurze

wspólnotowego medytowania przy żłóbku. Chyba byliśmy blisko tajemnicy Bożego wcielenia, odczuliśmy ją w sposób bardziej namacalny, powiedziałbym – w sposób bardziej Maryjny. Czy jest lepszy sposób aniżeli ten? Dlatego pewnie było we mnie tyle pokoju i radości, którymi się teraz z Wami dzielę. Niech to będzie moje tegoroczne dzielenie się opłatkiem.



APOKALIPSA

Mój dobry przyjaciel mi mówił, że miał dziwny sen, ale ja dobrze go zrozumiałem. Chodziło mu o coś więcej, aniżeli tylko opowiadanie snów... Jasne było dla mnie, że nie uważał się bynajmniej za proroka. Po prostu prześladowały go wizje apokaliptyczne. Bardzo chciał mi ten sen opowiedzieć, licząc, że zrobię z niego literacki użytek. Parę razy zapytał mnie, ni to poważnie, ni to ze śmiechem, czy gdzieś umieściłem artykuł z jego snem...

Któregoś dnia zacząłem pisać artykuł, ale nie byłem w stanie go dokończyć. Nie podobał mi się jego początek, który brzmiał mniej więcej w ten sposób: „Nagle przyszła wojna, choć z jej formalnym wypowiedzeniem nikt się nie trudził. Wojna nie wojna – mniejsza o to, jak nazwać to, co się wtedy działo. Chaos zapanaował wszędzie i ogarniał wszystko jak powódź, na którą nie było ratunku. Z nieba przyszedł cios, którego w żaden sposób nie było można powstrzymać. Zostały zadane rany, na które nie było uleczenia”.

Zbyt apokaliptyczny wydawał mi się początek, dlatego spróbowałem innego sposobu: „Jak co rano po obudzeniu, udałem się do łazienki i... nagle prąd został odcięty. Nie mogłem wziąć mojej porannej kąpieli ani wypić mojej porannej kawy, bo gazu też nie udało mi się zapalić. Poszedłem szukać zapalek, ale w pewnym momencie stanąłem jak sparalizowany. Zdałem sobie wreszcie sprawę, że miasto jakoś inaczej niż zwykle się zachowuje. Zbyt głośno pobrzmiwają klaksony samochodów i syreny. Szukałem tranzystorowego radia, które musiało być gdzieś wśród szpargałów na biurku... «Windy nie działają» - skojarzyłem sobie nagle, gdy usłyszałem, że za drzwiami nieprzerwanie dudnią kroki schodzących. Wyraźnie było słycać ich lamenty i krzyki. Coraz bardziej dochodziłem do siebie, zdając sobie sprawę, że chodzi o poważną tragedię. «Wojna się zaczęła i trzeba uciekać» - usłyszałem. Wojna? Ale z kim i dlaczego? Gdzie uciekać? Nie mogłem się zdecydować na żadne działanie. Mój telefon komórkowy stał się niezdolny do użytku, milczał, pulsując czerwonym światłem alarmowym jak mała elektroniczna ryba dogorywająca na moich oczach z braku wody. Włosy stanęły mi dęba, gdy zobaczyłem przez okno, jak ludzie ładują się do samochodów. Gdzie oni jadą? Radio jeszcze bardziej wzmogło mój niepokój i spowodowało w moim myśleniu jeszcze większy chaos. Wiedziałem już, że zdarzyła się katastrofa, że przekracza ona wszystkie oficjalne przewidywania, ale jakie jest jej rzeczywiste pochodzenie i jak wielka skala - nie mogłem się zorientować. Zaczęła we mnie narastać panika, tym bardziej że okazało się, iż «...pre-

zydent nagle stał się nieosiągalny» – o czym z zażenowaniem powiedział radiowy spiker, jego rzecznik prasowy składał właśnie jakieś mało trzymające się kupy wyjaśnienia, które zresztą zostały szybko przerwane i w miejsce jego wypowiedzi pojawiła się znów muzyka.

Ja też opuściłem dom, bo przecież w każdej chwili można się było spodziewać nuklearnego ataku na nasze miasto – tyle tylko zrozumiałem... Nie wiem wprawdzie, kto będzie nas atakował i dlaczego, to znaczy nie wiem nic konkretnego na ten temat, choć znam spekulacje, że tajni agenci wroga, że różne terrorystyczne organizacje... Podobno – podał przed chwilą spiker – bomba miała być ukryta parę lat temu w piwnicy jednego z domów. Podobno tę bombę wróg chce zdetonować i spotęgować katastrofę, która tej nocy dotknęła nasz kraj. Czy tylko nasz kraj, czy inne również? Wyglądało na to, że katastrofa jest światowa. Nie mogło przecież być inaczej w dzisiejszym zglobalizowanym świecie. Nie było innego wyjścia. Dom musiałem opuścić jak najspieszniej. Co innego mogłem zrobić? Na co mogłem liczyć, pozostając w wysokim wieżowcu, bez prądu i bez jedzenia. Miałem się żywić kilkoma kromkami chleba kawą? Serkami i majonezem? Nie wiedziałem jeszcze, gdzie pojedę...”

No dobrze, wystarczy! Tu przerwałem pisanie mojego artykułu. Uznałem, że nie ma co kultywować fikcji. Nie będę pisał tak, jakbym ten „atak terrorystyczny” w rzeczywistości przeżywał. Lepiej, aby każdy z nas spróbował sam sobie dopowiedzieć, co mogło się wydarzyć dalej. Co, waszym zdaniem, działo się z moim

samochodem, gdy wyszedłem na ulicę? Co się stało, gdy zauważyłem, że mam bardzo mało benzyny? Jak wyglądała sytuacja stacji benzynowych, które szturmowały liczne samochody? Ile kosztowała benzyna i kto ją sprzedawał? Jak odbywało się jej kupowanie?

Następnie... Pomyślcie sobie, jak wyglądały supermarkety, jak zachowywali się w nich ludzie, co robili, gdy widzieli, że ktoś wynosi sporą paczkę pełną wiktuałów, podczas gdy innym pozostały tylko puste półki? Co robili starcy, jak zachowywały się dzieci, a jak gangsterzy, którzy gangsterami nie byli, ale takimi się stali z powodu apokaliptycznej paniki. Dodajcie do tego jeszcze przekonanie, że zbliża się czas „zero” nuklearnego wybuchu albo że nadchodzi wiadomości o zbliżaniu się do miast radioaktywnej chmury... A gdyby dodać do tego huk wybuchów, pożary, rozwalające się domy, trupy na ulicach...?

Może trzeba by jeszcze tę serię pytań uzupełnić o następne, trochę odmienne w formie. Zastanów się trochę, co byś zrobił, gdyby to ciebie spotkał taki kataklizm tam, gdzie mieszkasz obecnie? Gdzie być uciekał i co byś robił w miejscu twojej ucieczki? Gdzie byś mieszkał i czym byś się żywił... Oczywiście, gdybyś dojechał zgodnie z twoim zamiarem, gdyby ci starczyło paliwa w baku, gdyby droga nie była przecięta albo zablokowana, gdybyś uniknął napadu rabusiów, gdybyś nie został zaatakowany przez zrozpaczonych ludzi, szalonych ze strachu...

Co by było, gdyby wielka lawina głodnych i przerażonych ludzi trafiła tam, gdzie ty szukasz schronienia, i nie było już żadnych zorganizowanych form pomocy,

gdzie każdy musiałby walczyć z drugim człowiekiem, żeby przeżyć, bo śmierć chodziłaby z otwartą przyłbicą, śmierć we wszystkich jej postaciach i we wszystkich odsłonach apokaliptycznego dramatu – jako jedyna zwycięska reguła życia.

Uderzyłem w ton być może zbyt filozoficzny – ale ten zbytek mi się dziś podoba. Możemy jeszcze sobie trochę pofilozofować. Rano miałem ciepłą wodę w prysznicu, w minutę moja poranna kawa była gotowa, w lodówce znajdują się różności do przegryzienia... Nie może mi to jednak przesłonić faktu, że ludzkość jest rzeczywiście chora! Nie można dłużej na to zamykać oczu. Z jednej strony, są ludzie bardzo bogaci, z drugiej zaś – nędzarze, którzy umierają z głodu. Są śmiertelnie chorzy, których mogłyby uratować od śmierci tabletki znajdujące się w mojej apteczce, czekające w zapomnieniu na przeterminowanie i wyrzucenie do śmietnika. Jedni mają domy, po kilka domów, pałace, luksusowe apartamenty, a inni całe życie mieszkają w kartonowych budkach albo śpią pod mostami, na ulicach. Część ludzi wyrzuca pieniądze na zbytki, traktując innych ludzi jak przedmioty jednorazowego użycia, gdy tymczasem ludzie-przedmioty poddają się ich woli, nie mając nic do powiedzenia, bo albo zmusza ich do tego ktoś, kto chce na nich zarobić, albo sami godzą się na warunki możliwych, widząc w tym jedyny sposób przeżycia...

Tymczasem zło jest zawsze zapowiedzią śmierci i w żaden sposób nie da się jej oszukać. Upomni się ona z całą pewnością o swoje ofiary, nawet jeśli na razie się nie odzywa. Cicho się czai, podpisując weksel

swojego złowieszczego żniwa. Nie pomogą wówczas żadne kwarantanny, mury ani podział świata na strefy: w jednej strefie to zło się leczy, a w innej pozwala mu się rozwijać. Pojawiają się wówczas jego mściciele, nowy rodzaj apokaliptycznego wojownika, który nie boi się umierać, bo nigdy nie zaznał normalnego życia. Zadawać będzie śmierć innym – w największej możliwej ilości, bo nie będzie mu przecież chodzić o prywatne animozje w stosunku do jakiegoś konkretnego człowieka, ale o sąd i o egzekucję globalnego potępienia, składając w ten sposób ofiarę nienawiści bogu zemsty i unicestwienia.

Ponieważ przybliżyliśmy się w ten sposób do obszaru teologii, skorzystajmy z okazji i dopowiedzmy jeszcze, że jedyną odpowiedzią na chorobę, na którą zapadł współczesny świat, jest porozumienie między religiami w imię ratowania człowieka. Taka zaś religia, której nie zależy na ludzkim ratunku, która człowieka nie szanuje i traktuje go jak mięso armatnie dla swej ideologii – trzeba to powiedzieć jasno – nie jest prawdziwa. Równie jasno trzeba powiedzieć, że takich religii nie ma, są tylko ich fałszywe interpretacje.



BAL SZATANÓW

Mam jeszcze jeden rekolekcyjny epizod do opowiedzenia, który tym razem będzie się odnosił do pewnej rekolekcyjnych nocy, spędzonej w małym domku na wybrzeżu morskim. Był to czas ramadanu, w maju

w trakcie roku szkolnego. Nikogo zatem poza mną nie było na całej parokilometrowej plaży. Istna pustynia, na której spotykają się dwa żywioły: piasek i woda. Trzeba dodać oczywiście, że był tam jeszcze jeden żywioł – słońce, bowiem w Syrii zaczęły się ostre upały.

Minęło kilka dni, odkąd samotnie chodziłem po plaży, pływałem i przesiadywałem na tarasie mego małego bungalowu...

Pewnego popołudnia przyszedł do mnie młody strażnik i zapytał nieśmiało, czy nie chciałbym „poślubić na jedną noc jakiejś dziewczyny”. Mówił – dla ułatwienia mi decyzji – że nie będzie żadnych komplikacji i nie będzie drogo kosztowało. Wyglądało na to, że zgłasza tę propozycję nie dla zdobycia pieniędzy, ale raczej dlatego, że czuł sympatię i współczucie dla samotnego cudzoziemca, który marnuje czas, nie umiając sobie sam poradzić z samotnością. Nie dowierzał mojej odmowie. Zapewniał, że za jego propozycją nic złego się nie kryje. Odchodząc, odwracał się kilkakrotnie, licząc na to, że się jeszcze rozmyślę, przełamie obawy i go zawołam...

Po skończonym dniu, po odsiedzeniu długiej nocnej medytacji, pełnej szumu fal morskich i migotania gwiazd na niebie, mieszających się ze światłami wyspy Arwad – która strojna jak tort w urodzinowe świece sterczała w samym środku morskiej czerni, oddalona od brzegu o jakieś cztery kilometry – udałem się wreszcie na nocny spoczynek. Zamknąłem szczelnie żaluzje i nie zapalałem światła, żeby nie wabić komarów, a dla pełnego zabezpieczenia się przed nimi zapaliłem jeszcze dodatkowo „katol”, czyli spiralę,

która spalając się, wydziela dym odstraszący owa-
dy, ale również stanowi nie lada przeszkodę w zaśnię-
ciu dla kogoś, kto nie lubi mdłego zapachu dymu. Po
dłuższym czasie, zmęczony przez upał, udało mi się
wreszcie zapaść w sen, ale został on w którymś mo-
mencie gwałtownie przerwany. „Na dachu odbywa
się bal szatanów” – taka myśl przeszła mi przez gło-
wę zaraz po przebudzeniu. Słysząc było gwałtowny
wycie wiatru, który walił okiennicami i huczał, prze-
ciskając się między palmami. Morze ryczało falami,
a na dachu panował nieopisany hałas, jak gdyby ja-
kaś pijana kompania wesołków sprowadziła sobie tu
metalowe beczki i rozpoczęła szalone ich ujeżdżanie.
Myślałem, że lada moment dach się zawali na moje
łóżko albo że sufit pęknie i bal diabłów przeniesie się
do mojego pokoju, tam gdzie leżałem – cały zlany po-
tem, struchlały. Przeplatałem modlitwy z pełnym nie-
pokojem oczekiwaniem, co się dalej stanie, nasłuchując
wszystkich szalonych dźwięków, które docierały do
mnie z zewnątrz domu.

W całym tym chaosie było coś, co pozwoliło mi nie
popaść w panikę. Tym czymś było przekonanie, że
Bóg mnie osłoni przed szatanem. Głośno dziękowa-
łem Jego łasce za to, że nie poszedłem za ofertą zło-
żoną mi tego popołudnia przez młodego strażnika.
Gdybym Bożej łaski nie przyjął, byłbym teraz leżał
bezbronny i chyba psychicznie bym nie wytrzymał
tego naporu wrzaskliwych upiorów. Chybaby pękł we
mnie jakiś wewnętrzny sufit i złe duchy zwałyby się
na moje łóżko. Pewnie by mnie przygniotły, zdepta-
łyby w mnie trzeźwość duszy i zostałbym zmuszony

do udziału w ich szaleństwie, ulegając nocnej zasadzce, którą na mnie zastawili, posługując się młodym strażnikiem o bardzo niewinnej twarzy.



BASZA

Podczas mszy św. w domu u pewnej rodziny, którą znam od wielu lat, w czasie modlitwy wiernych proszono w intencji „Baszy”. Nie jest to jego właściwe imię, ale przydomek, pod którym jest on powszechnie znany, bo rzeczywiście miał on maniery „baszy”, czyli lokalnego pana i władcy. Poszczyliło mu się w życiu, zbił sporą fortunę na jakichś transakcjach handlowych, dłuższy czas mieszkał za granicą, ale kilka lat temu powrócił do kraju, aby w swoim mieście rodzinnym, na ostatnim piętrze wieżowca, uwić sobie podniebne gniazdo z pięknym widokiem na góry z jednej strony, z drugiej – na lazurowe morze. Po mszy św. poproszono mnie, abym go odwiedził, ponieważ od roku walczy z rakiem i stan jego jest coraz bardziej bez nadzieiny. Nie było żadnego problemu z mojej strony, bo miałem czas, a na dodatek apartament, w którym mieszka, znajduje się w budynku stojącym niemal po sąsiedzku.

Gdy wszedłem do pomieszczenia, gdzie przebywał, zastałem go skulonego, leżącego pod lekkim kocykiem, małego jak dziecko i bezbronnego jak człowiek skrajnie udręczony chorobą. Dojście do

tego pokoju prowadziło przez zalany światłem salon o wielkich panoramicznych szybach, tonący w zieleni i kwiatach jak gdyby chodziło o wiszący nad miastem ogród. „Sejjed Basza” z barczystego i dobrze zadbanego mężczyzny, który w każdym towarzystwie brylował, stał się skurczonym staruszkciem, bez włosów, niemogącym już wypowiedzieć żadnego słowa. Jego spojrzenie zdradzało świadomość tego wszystkiego, co się wokół niego działo. Wiedział, że przyszedł do niego ksiądz z wizytą, dlatego mamrotał jakieś słowa podziękowania, chociaż ja jestem księdzem katolickim, a on należy do Kościoła prawosławnego. (Tu na Wschodzie jednak nie jest to przeszkoda, chodzi przecież o odwiedziny połączone z błogosławieństwem). O to właśnie poprosiła jego żona, a błogosławieństwa przecież nikomu się nie odmawia, a szczególnie gdy czyjś stan zdrowia jest taki jak u „Sejjed Baszy”. Para małżeńska, która mi towarzyszyła w tej wizycie, przyniosła krzyż z ich mieszkania; ten sam, który leżał na stole u nich w domu, podczas wspomnianej wyżej mszy św. „Sejjed Basza” przycisnął krzyż do chudej piersi i nie chciał się z nim rozstać. Żona powiedziała, że jak zachorował przed rokiem, to zmienił się radykalnie jego stosunek do wiary. Do tej pory był komunistycznym agnostykiem, którego zupełnie nie interesowała religia i zdaniem wszystkich było mu z tym do twarzy. Miał spore grono znajomych, miał bliskich kompanów, miał dobrą sytuację materialną, żonę którą bardzo kochał, przez wszystkich był szanowany... Rak zepsuł mu wszystkie życiowe plany i paradoksalnie pomógł mu odnaleźć wiarę.

Dowiedziałem się od siostry, która właśnie złożyła pierwsze śluby zakonne, że pochodzi z Iraku, że wiodło się im bardzo dobrze, że szykowałą się do studiów, pasjonowała ją architektura, ale wybuchła wojna i musieli opuścić Kuwejt. Stracili wówczas niemal wszystko, co posiadali, ale dobrze, że udało się im ująć z życiem. Niestety, rozchorował się jej ojciec. Wydali resztę pieniędzy na leczenie, ale nie zdołali go uratować. Zaczęła się twarda walka o przetrwanie, musiała ciężko pracować, czuła straszną samotność, doświadczyła niejednego poniżenia... W efekcie straciła wiarę i przestała się zupełnie modlić, żyjąc w permanentnym szoku od samego momentu rozpoczęcia się wojny. W końcu, udało się jej wraz z matką dotrzeć do Libanu. Tu po raz pierwszy odezwało się w niej powołanie...

„Sejjed Basza” i ta piękna dziewczyna, która przed kilku dniami złożyła profesję zakonną – oboje spotkali się w życiu z osobistymi, wielkimi nieszczęściami. Na ile ich nowa wizja życiowa, składane przez nich wyznanie wiary jest odkryciem Chrystusa, a nie strachem przed śmiercią?

SPIS TREŚCI

Wstęp	5
A jednak można	11
Apokalipsa	14
Bal szatanów	19
Basza	22
Biali pariasi	24
Boże Ciało	27
Bożonarodzeniowy śnieg	29
Burza, czyli koniec świata	33
Być	35
Chcę pieroga!	38
Comme des clochards	41
Cudowny świat Tufaha	44
Człowiek, czyli wiara	47
Dobroczyzna kolacja	49
Dramatyczny banał umierania	54
Dwie pustynie	57
Dziura w głowie	58
Ekumeniczna cisza czy ekumeniczne rozmawiania?	61
Forma modlitwy	64
Franciszkański jezuita	67
Historia ma duszę	71
Ja tego nie przeżyję	75
Jak ojciec Kurdy szedł do nieba	79
Jak to rozumieć?	83
Jak to się mogło stać?	86
Jedna świeczka – dwie religie	88
Już czy jeszcze?	90

Kąpiel między tęczkami	93
Kolacja z biskupem	96
Koniec lotu	98
Kreolski ślub	100
Kultura wyrażania radości	102
Kwiat do naszego ogrodu	107
Lekcja Wcielenia	110
List z medalikiem	113
Liszaje śmierci są nadal widoczne	115
Łażnia turecka w Nachela	119
Łza	121
Mar Maron nieosiągalny	123
Maryja nas pocieszyła	128
Medialna nieprawda	132
Miętówka ojca Francois	134
Miś polarny	139
Mistyczne zawirowania	143
Modlitwa z hindusami	146
Moi wychowankowie z Aleppo	153
Może jakimś cudem?	157
Msza na dachu	161
Mycie nóg ministrantom	164
Na służbę do Pana Boga	167
Na urodzinach u św. Franciszka	171
Nie tęsknisz za mną?	173
Nie tylko dyletanci	175
Niedoszłe odwiedziny	179
Nieosiągalny Mar Maron	180
Nieświadoma przywara	184
Nieszczęśliwa	186
Niewinny spacerek	190
Niezniszczalny Abud	194
Noc w pokoju biskupa	197

Nocna niespodzianka	200
Ogień święty	203
Otwarcie bramy	206
Pielgrzymowanie wśród oliwek	209
Pierwszy spacer po Bajjadyje	212
Pocztowy sprzymierzeniec	215
Podziękowanie	217
Pogoń za przyszłością	220
Pogrzeb ojca Metodiosa	226
Pomóżcie sobie wzajemnie być siostrami	229
Poranna kanonada	229
Postępowe pick-nickowanie	231
Powolne umieranie	234
Powrót do domu	237
Prawda i pozorowanie	239
Prawość, pokora i życzliwość, czyli: jak się ubierać	242
Prywatne Zesłanie Ducha Świętego	246
Przeprosiny	249
Przerwa w dopływie prądu	253
Rekolekcje w Mar Musa	256
Rekolekcje w Suejda	259
Rekolekcje z wężem	264
Relatywna ważność egzotyki	268
Róża na asfalcie	271
Sawab	274
Sobie samemu na pamiątkę	276
Spacery po parku	278
Spotkanie z faraonem	280
Stracone powołanie	284
Święto Odnalezienia Krzyża	287
Tańce łamańce	291
Teatr	293
Toledo	295

Uleczyć zranioną miłość	300
Uśpiony macho	304
W Rakka - krótko po Zielonych Świątkach	306
Walka o nierozdzielność małżeństwa	310
Weekend w Daghle.	315
Wędrówka po raję	319
Wielki Piątek na dzikiej plaży.	321
Wielkoduszność, skąd?	326
Wymuszone debki	329
Wypadek	334
Z Damaszku do Rakka.	339
Z Maryją na przekór wszystkiemu.	344
Zawrót głowy świeżo upieczonych ojców	349
Zbrodnia na rzece	351
Znów został mi podarowany jakiś kawałek życia.	353
Zuzu - duże dziecko.	356